



Józef Hen

**BOKSER  
I ŚMIERĆ**

*opowiadania zebrane*

MANDO

# **Powiernik serc**



Nocne rodaków rozmowy różnią się zapewne od tych, które są prowadzone w biały dzień w ogródkach kawiarnianych czy w rozgwarze stołówkowym, przy szczęku talerzy i siorbaniu zupy. Ale jedne i drugie wyrażają naszą potrzebę komunikowania o sobie innym. Dusimy w sobie ją nieraz – ze względu na konieczność zachowania dyskrecji. Albo przez wstydlivość. Odnotowujemy swój ból w notatniku, potem drzemy zapisane kartki. Przyjaciółka przyjaciółce zwierza swój sekret, potem szczerze tego żałuje. „Masz długi język” – powie z wyrzutem, czasem z pogardą nawet ktoś, kto sam owszem, lubi mówić o sobie, ale wydaje mu się, że on to co innego, on stanowi temat naprawdę interesujący. Nikt nie bierze pod uwagę, że zbrodnia opowieści została dokonana pod przymusem; oprzeć się – było ponad siły.

Ja sam nie raz padałem ofiarą cudzych zwierzeń. Ponieważ kręciłem się ostatnio bez zajęcia, pomyślałem sobie: dobrze, niech się zwierzają, ile dusza zapagnie, wysłucham każdego – ale czemu za darmo? Przecież zabierają mi to, co jest moją najcenniejszą (i najbardziej ulotną) własnością – mój czas. Skoro im to przynosi ulgę, to niech mi to jakoś zrekompensują, pieniądze jest w bród, towarów brak, więc oto ja ofiaruję im towar całkowicie deficytowy: uszy ku słuchaniu. Moje usiłowanie rozumienia ludzkich serc. (Chociaż: czy im ta moja umiejętność jest rzeczywiście potrzebna? Gdyby na moim miejscu siedział automat, który potrafiłby kiwać głową, wzdychać w odpowiednim miejscu, czasem mruknąć: „coś podobnego...”, zaspokoiłby ich równie dobrze jak ja). Rozlepiłem ogłoszenia na kartkach papieru: STARSZY PAN Z DOŚWIADCZENIEM wysłuchuje zwierzeń i żalów. Podałem telefon i godzinę. O pieniądzach nie wspomniałem, pieniądze rozumieją się same przez się. Na słupie telefonicznym, na budce przystanku autobusowego, na pniu rozrosłej lipy, tuż koło domu, w którym mieszkam – białaty przez dni kilka te

kartki, czwartego dnia zmył je deszcz, a ja wtedy je zerwałem: pomyślałem sobie, że może się pomyliłem, może to niegodne zarobkować w taki sposób, jakby żerując na cudzym bólu. (Ale czemu akurat bólu? Skąd pewność, że ludzie nie zechcą opowiadać o swoich radościach? Radość też jest czasem trudna do zmanifestowania, czasem wręcz nie wypada jej okazać, a tu można się nią podzielić z kimś bezinteresownie życzliwym – życzliwym już choćby dlatego, że to radosne wydarzenie przysparza mu klienta. Słowo „bezinteresowne” może się komuś wydać zadziwiające, ale to nie tak, bezinteresowność wpływa właśnie z zainteresowania finansowego: szczęście mojego klienta w niczym mi nie przeszkadza, niczego mi nie odbiera, przeciwnie, korzystam na nim, podczas gdy przed innymi mój klient tę swoją najbardziej intymną radość ukrywa, ma swoje powody, nie moja rzecz jakie).

Tak czy inaczej zerwałem te ogłoszenia. Ale już było za późno, już się rozniosło. Już kioskarcz powiedział kilku namiętym palaczkom: „Pani wie, ten cwaniaczek z drugiego piętra, ten stuknięty trochę redaktor – dla niego w tych określeniach «cwaniaczek» i «stuknięty» nie zawierało się nic obraźliwego – to on wysłuchuje”. Powtórzył emeryt emerytowi, owocarka gosposi, docent adiunktowi, nawet do cielęciarzy dotarło.

Seans musiałem zaczynać od przypomnienia, że ja nie udzielam żadnych rad ani niczego nie załatwiam. Ja tylko słucham. Nie godzę zważnionych małżeństw. Mogę podjąć się, oczywiście, wysłuchania obu stron, ale każdej oddzielnie. I zdarzało się, że małżonkowie, po wylaniu przede mną swoich żalów, uzyskiwali jaśniejszy pogląd na własną winę, godzili się ze sobą, przypisując swoje odzyskane szczęście mnie i dochodząc do wniosku, że moje skromne honorarium nie uiszcza ich długu; dostawałem więc dodatkowo koniak, kwiaty, czekoladę z orzechami, czasem tort makowy od Bliklego. Powtarzam: żadnej mojej zasługi w tym nie było. Zdarzyło się też, że przyszedł do mnie ktoś z historią swojego życia i zażądał pieniędzy ode mnie: ten ktoś (całkiem logicznie) zrozumiał ogłoszenie w ten sposób, że ja płacę za wysłuchiwanie historyjek i był bardzo rozczarowany, kiedy okazało się, że jest odwrotnie. Zdarzali się i mitomani. Opowie taki fascynującą historię, pod której wrażeniem jestem; dzwonię więc do niego, żeby uściślić jakieś szczegóły, a on w ogóle tej historii nie pamięta albo opowiada ją całkiem inaczej, nie tak fascynująco, trochę płasko, czyli tym razem tak, jak było naprawdę.

Bardzo szybko zorientowałem się, że wolę opowieści mężczyzn niż kobiet. Może się to wydać dziwne czy nieszczerze (zwłaszcza łasym na kobiece

zwierzenia panom), ale mężczyźni mają ciekawsze rzeczy do przekazania. Wcale nie dlatego, że ich opowieści dotyczą frontu, obozu, konspiracji – właśnie tego mam po uszy, chociaż niektóre relacje przedstawię i tutaj. Początkowo, przyznając, zwierzenia kobiet mnie także interesowały, oczekiwałem ich z podnieceniem. Ale zaspokoivszy z kilkoma klientkami ciekawość, dowiedziawszy się, jak straciły dziewictwo, jak osiągają orgazmy, jak zdradziły czy zdradzone zostały, doszedłem do wniosku, że w tych sprawach nic już nowego nie usłyszę. Poza tym te opowieści – o kochankach, mężach, czasem o nie spełnionych idealnych romansach – odznaczały się pewną psychologiczną monotonią. Można było z góry przewidzieć klimat i nastrój emocjonalny tych opowieści, niemal słownictwo. Kobiety, wylewając swą gorycz, poddają rzeczywistość swoistej kastracji: eliminują z niej wszystko to, co im nie pasuje do upragnionego obrazu: siebie pokrzywdzonej i jego wyrodnego. Mają pamięć selektywną, wyrzucają z niej całe obszary niewygodnych przeżyć, a zarazem pamięć znakomitą, wydobywają z niej jakieś szczegółiki, które mają potwierdzić jego podłość, szczegółiki dla mężczyzny trudne do zapamiętania, ponieważ nie stanowiły dlań przeżycia dramatycznego. Dla niej – tak, teraz, po latach... Kobieta – zdradzona czy zdradzająca – widzi obrazy czarno-biało: mąż, zakochany w „innej”, jest nie tylko podły, ale i komiczny; ona, zakochana, jest patetyczna. Silnie rozwinięty instynkt samoobrony usuwa w niej wszelkie wątpliwości. Inaczej mężczyzna – w podobnej sytuacji częściej żywi wątpliwości czy poddaje się rozterce, chętniej usprawiedliwi tę, którą krzywdzi, czy nawet która jego krzywdzi. Opowieści mężczyzn – przynajmniej te, których ja wysłuchiwałem – były na ogół opowieściami o rozdartym sumieniu. Może dlatego w ogóle do mnie przychodzili. Przyznają, że opowieści kobiet były barwniejsze: umiały opisać umeblowanie, deseń tapet, odzież, gesty, zachowanie przy stole, różne śmieszności; w ich opowieściach brały udział psy, koty, doniczki z kwiatami, gosposie, talerze z Chodzieży, czasem prześcieradło (lub jego brak), fryzura, klipsy, pierścionki, połamany obcas, oczko w rajstopach. Opowieść wojenna kobiety lepiej, bardziej zmysłowo oddawała dzień powszedni okupacji. Ale ja wolałem opowieści męskie: ten właśnie niepokój sumienia, wahania. Wolałem męską słabość od kobiecej siły.

Piszę to na zimno, nie jako przeciwnik kobiet, którym nie jestem, ale jako ktoś, kto wysłuchawszy wielu zwierzeń, uchwycił w nich pewien rys wspólny. Ja sam, kiedy mam kłopoty, wolałbym się z nich wypowiadać kobiecie: one naprawdę interesują się przeżyciami innych, wykazują w tym czasami dużo

osobistego zaangażowania. Pocieszają, ocierają łzy, poprawiają poduszkę. Mężczyzn zwierzenia osobiste często niecierpliwia.

Co innego ja: jestem instytucją. Kiedy do mnie dzwonią, odzywam się głosem specjalnie postarzałym: to budzi zaufanie. Staram się podczas seansów o odpowiednią oprawę: kieliszek koniaku (czasem dwa), kawa lub herbata wkalkulowane są w koszty własne. Papierosy klient w zasadzie powinien mieć swoje, zwłaszcza jeśli pali jednego po drugim. Klient sam sobie wybiera miejsce, na którym chce spocząć: fotel, krzesło, kanapę (jak u psychoanalityka) – nie bez sugestii z mojej strony. Niektórzy mężczyźni wolą spacerować po pokoju. Kobietom czasem proponuję zżucie zbyt ciasnych pantofelków – od razu robi się serdeczniej. Dwa razy zdarzyło się, że młode panie wołały siedzieć na poduszce na podłodze, a któraś poprosiła, żebym i ja usiadł podobnie. Nie pamiętam, czy to była ta, czy też jakaś inna (chyba inna i dużo starsza), co zapewniła mnie, że zna doskonale moją twórczość, najbardziej mnie ceni za – i tu wymieniła tytuł książki mojego kolegi, którego na domiar złego nie znoszę.

Ten wstęp nie byłby pełny, gdybym nie podziękował serdecznie tym moim klientom, którzy zgodzili się, bym ich zwierzenia wykorzystał w książce, zwłaszcza zaś wypada podziękować moim kolegom po piórze, którzy z różnych względów „odstąpili” mi swoje własne przeżycia. I wreszcie dziękuję wszystkim, którzy mi zaufali. Było to niezwykle krzepiące doświadczenie. Chcę ich zapewnić, że zawdzięczam im wiele – nawet jeśli nie znalazło to odbicia w formie bezpośredniego zapisu literackiego.

# Morderca

– Nie czytałem pańskich książek, nie znałem przedtem nawet pańskiego nazwiska, nikt nigdy nie wymienił go w moim otoczeniu, a przecież rozmawiamy czasem o literaturze. – Wysłuchałem tego jak zwykle spokojnie, chociaż nie ma co ukrywać, że z przykrością. Już chciałem odpowiedzieć zasłyszana gdzieś ripostą: „To jest szczegół z pańskiej biografii, nie z mojej”, kiedy on powiedział: – I to właśnie usposobiło mnie do pana przychylnie.

Mężczyzna, którego nie będę opisywał, bo jeszcze go ktoś rozpozna, a mnie obowiązuje dyskrekcja, ciągnął:

– Kiedy postanowiłem przyjść do pana, pisarza, o którym nigdy nie słyszałem, powiedziałem sobie, że może warto w pierw zająć się pańskich książek. Przeczytałem dwie powieści i tom nowel, zdobyłem trochę danych biograficznych. I zdecydowałem, że przyjdę, bo pan wysłucha mnie ze zrozumieniem, ponieważ panu w życiu też się coś załamało. Jest pan pechowcem.

– Nie mówimy o mnie – zastrzegłem się dla porządku. Zdaje się, że zbłądłem, w każdym razie poczułem się nagle jak odsłonięty bokser, wystawiony na cios. – Nie, proszę pana – powiedziałem – nie mam pewności, czy jestem pechowcem. Może nawet wręcz przeciwnie, może mam sporo szczęścia.

– O, nie – zaprotestował, chmurniejąc – ja wiem, że pan jest mi bliski. Jestem mordercą – wyznał nagle.

– Ja nie.

Zapadło milczenie, podczas którego on zapalał papierosa. Ja tymczasem zastanawiałem się, co robić: morderca u mnie – nie, tego nie przewidziałem – nie mogę wysłuchiwać morderców, nie ten rodzaj zwierzeń miałem na myśli, kiedy dałem ogłoszenie.

– Wolę, żeby mi pan nic nie opowiadał – odezwałem się. – Do pewnego typu dyskrekcji nie chcę się zobowiązywać. Uważam, że zbrodnia powinna być ukarana.

– Ja też. Ja też – powtórzył nerwowo. – Ale niech pan mnie jednak wysłucha. Bo ja nie jestem pewny, czy zabiłem. Ale czuję się jak morderca. – Zdusił papierosa i uśmiechnął się blado. – Właściwie nie palę. Wie pan, dlaczego zapaliłem? Bo ona pali, i to te właśnie papierosy, i mnie kiedyś takimi poczęstowała. – Znów ten żalorny uśmiech. – Zachowuję się, jakbym miał jeszcze jakieś szanse, jakbym wciąż żywił jakąś nadzieję, a przecież nie ma już żadnej nadziei, teraz to już na pewno nie... On był moim najbliższym przyjacielem.

Nie odzywałem się. Czekałem, aż mężczyzna podejmie opowieść. Może tylko kiwnąłem zachęcająco głową.

– Tak, był moim najbliższym przyjacielem – usłyszałem. – Nie jestem łatwy do zawierania przyjaźni, słowo „najbliższy” lepiej zrozumieć w sensie „jedyny”. Był o kilka lat młodszy ode mnie, chyba pięć–sześć, to się liczy, traktował mnie też trochę jak starszego brata. Był to umysł żywy, przyjazny ludziom, nie podejrzliwy. Trochę głodny przeżyć, więc brykał w kawalerskim stanie, chociaż wiedziałem dobrze, że marzy o ognisku domowym, z wierną żoną i gromadką dzieci. Moja pierwsza żona, która go lubiła, mawiała czasem z właściwą kobietom skłonnością do swatania: „Oj, Jędrzek, Jędrzek, kiedy się ustatkujesz?”. On odpowiadał: „Najpierw się utatkuję, potem ustatkuję” – i temu podobne wygłupy. I słusznie, bo po co akurat ona się do tego wtrącała, kiedy właśnie pertraktowała z adwokatem, jak przeprowadzić nasz rozwód?

Powiedziałem panu, że był moim najbliższym przyjacielem, ale to nie znaczy, że ja byłem jego. W przyjaźni jak w miłości: wzajemność rzadko jest całkowita. Możliwe, że dla mnie on był kimś bardzo ważnym, ale na pewno znaczyłem o wiele mniej dla niego. Bo inaczej, jak to mogło się stać, niech pan sam powie, że o tym, że ma narzeczoną, że wkrótce ślub, dowiedziałem się całkiem przypadkowo. Zresztą chyba to nieprawda, że był moim najbliższym przyjacielem: to potem sobie to tylko tak wyobraziłem, potem, kiedy zacząłem w związku z nim odczuwać rozterkę, tak, potem, bo czasem nasze uczucia się nakładają, dramatyczność urasta przez próbę jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia, cofamy nasze napięcia emocjonalne, adresujemy je do innej chwili. I teraz spostrzegam się, że w mojej pierwszej próbie opowieści coś uległo zniekształceniu – fakty, bardzo mi przykro.

Próbowałem mu pomóc:

– Tutaj, u mnie, nie musi się pan trzymać faktów, to nie jest takie istotne. Czy przyszedł pan opowiadać o tym, co się wydarzyło, czy o tym, co pan czuje? Fakty są takie, jakimi je pan widzi.



– Ale ja bardzo chcę, żeby pan mi uwierzył.

– Wierzę w to, co pan czuje.

– Nie, nie byliśmy sobie nadzwyczajnie bliscy – podjął opowieść. – Wpadał czasem do mnie, zwykle w konkretnej sprawie, pożyczyć pięć stów albo książkę, albo żebym mu coś załatwił w pracy. Przestał się pojawiać od czasu, kiedy w jego obecności moja żona trzasnęła drzwiami. Nikt nie lubi domu z ciężką atmosferą, zwłaszcza młody, pełen życia i optymizmu mężczyzna.

Właściwie zniknął mi na kilka miesięcy z oczu, jeśli nie liczyć jakichś przelotnych spotkań na ulicy. Do owego popołudnia, kiedy zobaczyłem go na koktajlu środowiskowym, połączonym z odczytem któregoś z naszych kolegów. Obok niego stała młoda pani niezwyklej urody. Tak, dobrze się wyraziłem, młoda pani, kobieta trzydziestoletnia, rozwódka, jak się potem dowiedziałem. Wszyscy wiedzieli, że to jego narzeczona, całe nasze koleżeństwo, tylko ja jeden nie wiedziałem, najlepszy dowód, że niewiele dla niego znaczyłem. Przedstawił nas sobie: „To Jurek, to Bernadetta”. Czy pan doznał kiedyś oszołomienia, zderzywszy się z urodą kobiecą? To było bolesne, jak gdybym dostał cios w głowę. Nie mogłem wykrztusić słowa. Pocałowałem dłoń, którą mi łagodnie podała, uśmiechnęła się uprzejmie – pani miała dobre maniery – i to było wszystko. Już następny pochyłał się ku jej dłoni. Tak, nie zwróciła na mnie uwagi. Ot, jeden z wielu kolegów Jędrka. Chyba z jego ust nigdy o mnie słowa nie usłyszała, bo nie powiedziała żadnego: „Ach, to pan, Jędrak mi tyle o panu opowiadał”. Znowu ktoś się do niej pchał, jakiś grubas, przywitał się z obojgiem hałaśliwie: „Bernadetta, ślicznie wyglądasz w tej sukni” – potem jeszcze ktoś, a ja odszedłem na bok, pod ścianę, ogłuszony. I jakoś przybity, nie wiadomo dlaczego. Nie było we mnie żadnej radości, takiej, jaką powinno budzić piękno. Boże, myślałem, Boże, co się dzieje? Bałem się zerknąć w ich stronę, bałem się, że dostrzegą mój zachwyty, i bałem się zarazem, że jeśli lepiej jej się przyjrzę, mój zachwyty się ulotni. Ale kiedy spojrzałem wreszcie, nie tylko nie doznałem rozczarowania, ale mój stan zachwyty jeszcze się utrwalił. Stwórca może być dumny ze swojego dzieła, pomyślałem. Jak on to wymodelował, jak wyrzeźbił? Usłyszałem jej głos – coś mówiła, nie rozumiałem co, ale wyczułem inteligencję, finezję; jej głos, sposób mówienia, nie pomniejszał jej urody, dotrzymywał jej kroku. Potem rozsiedliśmy się, ja o kilka krzeseł za nią, i zaczął się odczyt – o niewydolności naszego systemu gospodarczego – jeden z wielu w tamtych czasach. Do mnie nic nie docierało. Myślałem wciąż o niej. „Bernadetta” – powtarzałem jej imię. Genialne dzieło natury. Pokolenia

na nie się złożyły, przemyślna krzyżówka ras, które przetoczyły się przez stepy Ukrainy, powiewy wichrów, promienie słońca, sok i tęczowy aksamit jędrnych, nabrzmiałych ciepłem owoców. Te jej oczy, to urzekające spojrzenie. „Moja narzeczona” – powiedział. Okropne słowo „moja”, zagarniające ją dla siebie. Jego, jego – czemu nie moja? Mój zachwyty nie łączył się więc z uczuciem szczęścia, dostąpienia, stąd właśnie moje przygnębienie. Czulem się oszukany. Zupełnie jak gdyby on, mój Jędrak, roześmiany, miły, ale przecież nic specjalnego, jak gdyby on wydarł mi tę, która była przeznaczona dla mnie, którą tylko ja – tak, byłem o tym przekonany – tylko ja mógłbym naprawdę kochać. Czemu się na niego zdecydowała? Jak to się stało, że nie odszukała mnie, jak mogła żyć w takiej nieświadomości, że ja istnieję, i to właśnie dla niej? Och, niech pan nie sądzi, że przypisuję sobie jakieś szczególnie właściwości – ja wiem, że nie rzucam się w oczy i pozostać nie dostrzeżonym to dla mnie znowu nic takiego nowego. Ale tym razem szło o nią, która – poczułem to, gdy tylko na nią spojrzałem – była moja, musiała być moja, od razu ją wyróżniłem, a ona – nic, absolutnie nic. (Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało; później nie byłem już o tym tak bezwzględnie przekonany). Więc byłem przygnębiony, ponieważ znowu mój los nie wyszedł. Bo to jest loteria, niewątpliwie, Jędrak wygrał i ja mu zazdrościłem, wygrał i nawet tego nie doceniał jak trzeba, tak mi się zdawało, traktował swoje szczęście jako coś naturalnego, nie błogosławił nieba, że ma przy sobie Bernadettę, wydawało mi się, że w jego stosunku do niej jest pewna nonszalancja. Wyszliśmy z odczytu oddzielnie.

Huczalo mi jej imię w głowie, kiedy znalazłem się w domu. Bernadetta, Bernadetta. Gdzie on ją wytrzasnął? Czemu ja na nią nie natrafiłem? (Wkrótce wyjaśniło się czemu: mieszkała w Krakowie, Jędrak poznał ją w górach, kiedy pojechał na narty – ja w góry nie jeździłem, nie dawałem Panu Bogu szansy – i stamtąd sprowadził ją do Warszawy). Bernadetta. Nie mogłem zasnąć. Słuchaj, powiedziałem sobie, zapomnij o niej, to będzie żona Jędrka, nie ma sensu, żebyś spędzał bezsenne noce, szarpiąc się z marzeniami o jego dziewczynie. Zażyłem tabletkę nasenną. Myślałem potem czasem o niej, ale bez robienia sobie nadziei, tylko tak: że jest, że to dobrze, i że nie chcę się szarpać.

Na ich ślubie w urzędzie stanu cywilnego byłem oczywiście. Wręczyłem pani Bernadecie gałązkę białego cieplarnianego bzu, ona przypomniała mi sobie, uśmiechnęła się z obowiązkową wdzięcznością (ale mnie się zdawało, że ze szczególną sympatią), wstrzymałem oddech, potem wykrztusiłem: „Życie szczęśliwie”. Nie zdobyłem się na ucałowanie jej w oba policzki, do czego była

okazja, nawet dłoni nie ucałowałem, skłoniłem się tylko głęboko. Jędrzek promieniał. Dostałem i ja kieliszek szampana. Sączyłem go powoli, kiedy jakoś nagle, znad brzegu kielicha, dostrzegłem spojrzenie Bernadetty: przyglądała mi się! Posłałem jej słaby uśmiech, odwzajemniła go. Nie wiem, dlaczego wydało mi się, że ona się czegoś domyśla. Czy dlatego mi się przyglądała? Nie wiem, doprawdy nie wiem. A może dlatego, że uśmiechnęła się do mnie raz jeszcze? Ale cóż, to był jej ślub, jej z Jędrkiem, więc tych czarownych spojrzeń, uśmiechów pełnych słodyczy rozdzielonych było oczywiście więcej. Ale ja poczułem się wyróżniony. I poczułem niepokój.

Rozwiodą się, myślałem, muszą się rozwieść, dla mnie się rozwiodą – i ona będzie moja. Oszalałeś, odpowiedziałem sobie, trzeba się leczyć. Ale jak? Potrzebna ci nowa miłość, inna kobieta. Rzuciałem się z przygody w przygodę. Ale nie kochałem żadnej z tych nowych kobiet, chociaż dla niejedynej miałem sporo wdzięczności, ratowały mnie rzeczywiście. Śniłem o tej, o której tak mało wiedziałem, właściwie nic. Wygląd, uśmiech – przecież to tylko pozory, zewnętrzność. Dlatego wystrzegam się słowa „kochałem”; byłem zafascynowany, otumaniony, opętany – te określenia lepiej oddają stan, który mnie ogarnął. Co ciekawsze, nie marzyłem o Bernadecie w łóżku, nie próbowałem nawet sobie tego wyobrazić, wiedziałem, że tego chcę, że to się musi tak skończyć, nie miałem wątpliwości, że to będzie cudowne – więc tak, nie myślałem o jej ciele, widziałem tylko jej oczy, uśmiech w tych oczach, któremu towarzyszyło szczęśliwe rozchylenie ust – coraz więcej przypominałem sobie takich szczegółów – tak, czarne gęste brwi uniosły się, wargi się rozchyliły (błysnęły dwa górne zęby), jakby nagle dostrzeżenie mnie, pijącego szampana za jej szczęście, sprawiło jej przyjemność, coś w rodzaju: „Ach, jak to miło z pana strony”. A może i więcej. Ten promień w jej ciemnych oczach, blask uśmiechu, w którym było coś świadomie uwodzicielskiego. („Strzeż się pięknych kobiet – powiedziała kiedyś moja przyjaciółka, stara kobieta – strzeż się, bo one wiedzą, że są piękne”). Ale to był jej ślub – prawda, że stanowiący uwieńczenie stosunku, który już trwał jawnie od pewnego czasu – więc ona, oblubienica, promieniała szczęściem, którego trochę oblało i mnie.

Po ślubie już ich nie spotykałem. Ktoś mi napomknął, że Bernadetta jest w ciąży. Nie, nie rozwiodą się. Później usłyszałem, że urodziła dziecko, chłopaczka. Nie rozwiodą się. Przestałem o niej myśleć, czasem tylko coś poćmiło, zamajaczył zamglony obraz, w mózgu dźwięczało to rzadkie, dziwne u nas imię: Bernadetta. Już nie bolało. I byłbym zapomniał o niej całkowicie, ot,

jeszcze jedna przelotna fascynacja, gdyby nie on sam, Jędrrek. Szedłem kiedyś od placu Trzech Krzyży Alejami Ujazdowskimi w stronę placu Na Rozdrożu, kiedy tuż przed Wilczą, koło Klubu Aktora, zna pan chyba to miejsce, zahamował gwałtownie mały fiat. – Stary! – krzyknął ktoś ze środka pudełka. Podszedłem. – Stary! – wykrzykiwał Jędrrek. – Co się z tobą dzieje? Czemu nie dajesz znaku życia? Mógłbyś czasem do nas wpaść. (Nie znałem ich adresu). Cholera, czy to tak trudno podnieść słuchawkę i zadryndolić. (Nie znałem numeru ich telefonu). Wsiadaj, nie wykręcaj się, zawiozę cię do nas! – Wsiadłem. Wszystko wróciło, wszystko, proszę pana, serce biło, a w myślach tylko: zobaczę ją, zobaczę, podczas gdy on gadał, przerzucał biegi, roześmiany, szczęśliwy, tak, czuło się to, jeszcze by nie, Bernadetta bardzo się ucieszy, słowo, zobaczysz Januszka, śmieszny szkrab, wczoraj skończył cztery miesiące, a co u ciebie?

Chociaż przedtem powiedziałbym, że to niemożliwe, ale wydała mi się jeszcze piękniejsza, w oczach było coś nowego, mądrość macierzyństwa, mądrość i łagodność zarazem, straciła trochę na dziewczęcości, zyskała na kobiecości, przedtem wydała mi się trochę szorstka, bałem się jej błyskawicznych ripost, teraz mówiła jakby wolniej, śpiewniej, w oczach pojawiło się trochę rozczulającej babskiej naiwności, mądrość życiowa z domieszką nabytej głupoty, coś, co tylko kobietom dodaje wdzięku, czym tylko one potrafią operować.

Wszystko przebiegało, jak nakazuje przyzwoitość. Przywitała mnie z uśmiechem, prawie okrzykiem radości, ona też wyraziła zgorznienie, że o nich zapominam, ja udawałem swobodę, nazachwycalem się Januszkiem, który był cały w ojca, parę żarcików na ten temat, potem dziecko zanesiono do pokoju obok, do łóżeczka, my rozmawialiśmy z ożywieniem, i tu muszę dodać, że pani Bernadetta była w dżinsach, które ciasno opinały jej biodra, ponętnie, nawet jakoś wyzywająco. Mój wzrok ślizgał się po kuszącym załukowaniu tych bioder, delikatnym, a zarazem wyzywającym, jak już powiedziałem, starałem się, żeby oczy mnie nie zdradziły, tak, to wtedy po raz pierwszy pomyślałem o jej ciele, była opalona, opalone ciało, myślałem, oczy zachodziły mi mgłą, przełknąłem ślinę jak pies, dopadnę cię jak pies sukę – pomyślałem – i czy mój oddech mnie nie zdradza?

Jędrrek zagadał o odczytach, to uratowało sytuację, prelegenta aresztowano, prelegenta wypuszczono – mnie przypomniał się jakiś dowcip, Gomułka w więzieniu, opowiedziałem go – roześmiała się – i nagle Jędrrek: – Poczekać, zrobię herbaty, mamy znakomitą herbatę, siedź, Detka, siedź, ja się tym

zajmę. – Ona powiedziała z uśmiechem: – Jędrusiowi się zdaje, że tylko on umie parzyć herbatę. – Ale ja wiedziałem, że nie o to chodzi, że on chciał uczcić gościa.

Zostaliśmy we dwoje. I chyba mogła się domyślić, co się we mnie dzieje. Bo ja zamilkłem. Siedzieliśmy oboje w fotelach, ja wpatrzony w nią, wargi mi się poruszały jak w modlitwie, opuściłem więc wzrok, znowu go podniosłem, przypatrywałem jej się w milczeniu, i wtedy dostrzegłem coś w jej oczach, rozwarły się szeroko, jej spojrzenie nabrało intensywności, jakby i ona chciała mi coś przekazać, coś, czego nie mogła powiedzieć głośno, coś, do czego nawet przed samą sobą nie mogła się przyznać, a jednak chciałaby, żebyśmy ja się domyślił, było jak most przerzucony między dwojgiem ludzi, po tym moście słałem moje zakazane pragnienie, mój podziw, moje oddanie, i ona to czuła, i odbierała, i było to jej miłe, co najmniej miłe, jeśli nie więcej. I to też było zabronione, oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Ciężar nas gniótł, ciężar wspólnej tajemnicy. Nagle ona uśmiechnęła się. „Chyba zapalimy”, powiedziała. Ten uśmiech, pełen łagodnej rezygnacji, nie ukrywał tego, że papierosa ma nas ratować przed milczeniem. Pałac ofiarowanego mi przez nią papierosa, mówiłem przez chwilę o tym, że uchodzę za lekkoducha, cóż na to poradzę, ludzie sądzą po pozorach, a pozory są przeciwko mnie. „Niech się pan tym nie przejmuje, panie Jurku, lekkoduchy budzą sympatię”, powiedziała i przechyliła się w moim kierunku, wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć mojej dłoni, ale nagle cofnęła się w głąb fotela. Wszedł Jędrzek z filiżankami herbaty. Pani Bernadetta szybko zaczęła mówić o czymś innym, było to związane z dzieckiem, a więc jednak tajemnica, coś sekretnego nas łączy – ona już wie, co ja czuję, i ja wiem, że ona to zachowa dla siebie...

Kiedy wychodziłem, Jędrzek był bardzo ożywiony i serdeczny.

– Stary – mówił na korytarzu – nie bądź świnią, pokaż się czasem.

Ona mu sekundowała, chociaż bardziej powściągliwie:

– Mam nadzieję, że pan Jurek o nas nie zapomni.

Nie, pomyślałem, znalazłszy się na ulicy, nie, to bez sensu. Będę grzęznąć w uczuciu, będę się ludzi wzajemnością, a wreszcie zdradzi mnie spojrzenie, głos, Jędrzek nabierze podejrzeń, zniechędzi mnie, i słusznie. Nie należy wnosić niepokoju do jej życia, i podsycać go też nie należy. Nie wykręcałem ich numeru telefonu, oni do mnie też nie dzwonili. Może Jędrzek się czegoś domyśla? Może woli, żebyśmy ich nie odwiedzał? A ona? Gdyby tego pragnęła – myślałem – pierwsza by zadzwoniła. Ale co by mi mogła powiedzieć? „Niech

pan przyjdzie, tęsknię za panem”? Przecież nie tęskniła. To tylko mój niepokój w jej obecności sprawił, że i ona stała się niespokojna – kiedy mnie nie było, jej życie toczyło się wyżłobionymi koleinami, więcej sobie mną głowy nie zaprzętała.

Tak myślałem. Ale chyba się myliłem. Zrozumiałem to w pewien mroźny i słoneczny dzień, kiedy zobaczyłem Bernadettę na Nowym Świecie. Szła obudzona torbami, jak na polską gospodynię przystało, na głowie miała dużą czapkę z rudego lisa przechyloną zawadiacko na bok. Była zamyślona i nie widziała, że się zbliżam. Stałem przed nią i spytałem: „Pomóc?”. „O, to pan! – uśmiechnęła się. – Nie, dziękuję, pan chyba jak zwykle się śpieszy, a za rogiem czeka Jędrzek z samochodem. – Pochwaliła się: – Dostałam białą emulsję w sklepie chemicznym. – I zaraz zreflektowała się: – Och, przepraszam, pana to w ogóle nie obchodzi. Czemu pan Jurek się nie pojawia? Niech pan nas odwiedzi, porozmawiamy jak ostatnim razem”. Nie uśmiechnęła się, zapraszając mnie, mówiła to z powagą, nawet jakby z odrobiną smutku. „Nie rozmawialiśmy – przypomniałem. – Milczeliśmy”. „To pomilczymy”. Miałem ochotę powiedzieć: „Nie, nie przyjdę, bo kocham panią”, albo powiedzieć: „Tak, tak, przyjdę, muszę przyjść, kocham cię” – ale znowu milczałem.

Oboje czuliśmy chyba to samo: że wszystko między nami rozgrywa się pod powierzchnią słów, ona coś mówi, ja coś mówię, a pod spodem coś się kłębi, wrze, ale nie wolno nam tego ujawnić, wszystko musi zostać stłumione; na zewnątrz uprzejmość, takt, powściągliwość, a pod spodem – słuchaj, chcę cię, twoich ust, twojego ciała, ja też, też chcę, moja, mój... – i w miarę jak we mnie wzbierało wrzenie pod pokrywą obojętnych słów, w jej oczach narastał niepokój. „Niech pan biegnie, bo spóźni się pan na randkę”. „Nie mam żadnej randki” – wydusiłem z siebie kłamstwo, bo szedłem na randkę. Powiedziała bardzo serio: „To dobrze”. Nadstawiła policzek do pocałunku. Dotknąłem wargami chłodnej skóry i pobiegłem przed siebie, potrącając przechodniów.

Teraz mogłem czekać. Będzie moja, myślałem, a jeśli nawet nie dojdzie do łóżka – ach, czy to zawsze takie ważne – to w każdym razie zasygnalizowała mi, że pragnie mojej obecności. I nawet swojej wyłączności. Byłem szczęśliwie wzburzony. Człowieku, pomyślałem, ależ ci się powodzi. Zamieniłeś z nią kilka słów – i już jest twoja. Nie narzekaj na loterię życia, nie wyciągasz samych pustych losów. Rozwiodą się, myślałem znowu z uporem. Wydrę ją Jędrkowi. Odczekałem kilka dni, żeby pozwolić dojrzeć jej tęsknocie, i dopiero wtedy zadzwoniłem. Ona odebrała telefon. Ucieszyłem się, że poznała

mnie po głosie. Ale zaraz moja radość zgasła, bo Bernadetta była podenerwowana. Chwilowo nieaktualne, powiedziała, Jędrak jest chory. Czy mam go odwiedzić? „Nie, na razie nie, on nie chce odwiedzin. Kiedy się poprawi, zawiadomię pana”. Szepnąłem: „Będę o pani myślał”. Usłyszałem cichutkie: „Ja też” – i zaraz po tym konwencjonalne: „Dziękuję za telefon. Do widzenia”.

Nie dzwoniła. Od znajomych lekarzy usłyszałem, że choroba Jędrka przeciąga się, że coś się komplikuje. Boże, pomyślałem wystraszony, żeby tylko nic mu się nie stało. Ona wciąż mnie nie zawiadamiała. Mój niepokój rósł. Musiałem się upewnić, że to nic takiego, musiałem uwolnić się od poczucia winy. Więc to ja zadzwoniłem. Telefon odebrał Jędrak. Poczulem rozczarowanie – i to mi się we mnie nie spodobało. „Jak się czujesz?”. „Chyba lepiej” – odpowiedział. „Kiedy będziesz do ludzi?”. „Czy ja wiem? Porozmawiaj z Detką, ona jest moim aniołem stróżem”. Zrozumiałem, że rozmowa go męczy. Niedobrze. Bernadetta przejęła słuchawkę: „Ach, to pan... Trochę nam się to skomplikowało. Ale wszystko będzie dobrze, na pewno. Jędrak ma mocny organizm i jest wzorowym pacjentem”. Chyba nie może przy nim powiedzieć prawdy. Spytałem cicho: „To poważne, tak?”. „Tak” – przyznała. „Musi pani być dzielna. Proszę mi przyrzec, że będzie pani dzielna”. Cóż innego miałem do powiedzenia? O żadnych wyznaniach w tej sytuacji nie mogło być mowy. Choroba Jędrka zadała wszystkiemu cios. Powiedziała cicho: „Jestem dzielna”. „Gdyby czegoś trzeba było, pani wie... możecie na mnie liczyć”. „Wiem. Dziękuję”. Po chwili szepł: „On zasnął”. „Bardzo pani ciężko?” – spytałem. „Bardzo. To zakrawa na koszmar”. Nagle dodała pośpiesznie: „Jestem dobrej myśli. Wyciągniemy go z tego, na pewno”. Widocznie się ocknął, pomyślałem i powiedziałem: „I ja tak myślę. Całuję panią gorąco” – pozwoliłem sobie na zakończenie, ponieważ słowo „całuję” rzucone przez telefon nic już ostatnio nie znaczy, podobnie jak słowo „love” w angielskich listach. Ale w moich ustach ono oczywiście coś znaczyło, poczułem smak tego słowa na wargach.

Odtąd zaczęła się moja udręka. Nie wiem, czy pan spostrzegł, czy pan ośmielił się spostrzec, bo do pewnych spostrzeżeń trzeba właśnie śmiałości, odwagi myśli, heroicznego zanurzenia się w ciemnej otchłani naszych stłumionych pragnień – jak to robił Dostojewski, jak zrobił Freud – otóż czy pan zauważył, że nie ma prawie śmierci przyjmowanych całkowicie bezinteresownie? Obojętnie – tak, ale nie bezinteresownie. Kiedy człowiek odchodzi z tego świata, prawie zawsze sprawia tym komuś głęboko skrywaną satysfakcję, przez sam fakt odejścia zostawia miejsce dla innego, rzecz coraz istotniejsza

na tym naszym zatłoczonym świecie. Powstaje próżnia, w którą od razu wciska się ktoś inny. Zostają po tamtym rzeczy, książki, posada. Pieniądze w banku. Renta. Zostaje łóżko, maszyna do pisania. Już nie trzeba się nim opiekować. Już nie trzeba się liczyć z jego zdaniem. Jest trochę samotnie, ale nie ma zrządzenia, fochów, gadulstwa, humorów, krępującej kontroli. Niech pan zauważy, że ja nie mówię o spadkobiercach po zamożnej cici: ci niemal nie ukrywają buchającej z nich radości, nie znają niepokojów sumienia. Ja mówię o nas, ludziach uczciwych, skromnych, którzy pozornie nic nie dziedziczymy, a przecież coś na cudzej śmierci korzystamy. Mnie Jędrak zostawiał Bernadettę.

Teraz pan wie, dlaczego zacząłem siebie podejrzewać, czy nie jestem czasem mordercą z premedytacją. Chciałem przecież jakiegoś rozwiązania tej sytuacji; chciałem rozpadu ich związku, zaspokojenia mojej szaleńczej, beznadziejnej miłości – oczywiście myślałem o rozwodzie, nie o jego śmierci – ale oto on sam przychodzi mi z pomocą, ułatwia przejście Bernadetty, umiera na tajemniczą chorobę, z którą lekarze nie wiedzą, jak walczyć. Poszedłem do kościoła, pierwszy raz od wielu lat, modliłem się gorąco o jego życie. Ale zaraz na ulicy, stojąc w zimnym wicherze, poczułem w tym jakiś fałsz. Cóż ci szkodziło się pomodlić, skoro w gruncie rzeczy jesteś niewierzący? Prawdą jest, że chciałeś mieć Bernadettę, chciałeś jej dla siebie. Jędrak ci przeszkadzał, twój przyjaciel stał na zawadzie – i proszę, on umiera, będzie wedle twoich życzeń. Przypomniałem sobie, jak to było, kiedy dowiedziałem się od kolegów lekarzy, że ta choroba jest cięższa niż myśłano, przypomniałem sobie, że chociaż od razu ciężar legł mi na piersi i błagałem los, żeby mu się nic nie stało, to równocześnie przeleciało mi przez mózg jak błyskawica, że jest szansa, jest! Będzie twoja! Przeraziłem się tej rozświetlającej mroki błyskawicy, zgasilem ją, zdusiłem, ale odtąd to wciąż za mną szło. Myśl drgająca radością, przyśpieszonym biciem serca, zbrodnicza w swojej istocie, zadręczająca mnie swoim natręctwem. Nie mogłem się jej pozbyć, wdzieriała się we mnie, pojawiała się nieoczekiwanie w samotności, najczęściej w stanach przedsennych, dopadała mnie wyrazistym szeptem: „Będziesz ją miał”. Przepędzałem ten głos, wściekałem się na siebie, na swoją nadwrażliwość. Bo przecież to nie była prawda! Ja wcale nie chciałem śmierci Jędraka! Ja naprawdę chciałem, żeby on wyzdrowiał, taki miły, fajny chłop, to tylko moje nieczyste sumienie, nieczyste bez wyraźnego powodu, maściło mi umysł, szepcząc jak mały złośliwy szatanek: „skorzystasz”.

Nasze myśli biegną czasem dwutorowo. Świadomość mówi: „biedny, kochany Jędrak, ojciec uroczonego bobaska, to okropne, że on umiera, byli ze sobą



tacy szczęśliwi” – i nawet łzy wzbierają nam w oczach. A drugim torem biegnie zupełnie inna myśl, ta, nad którą nie panujemy, przemyka się i przekrzywia, i chichocze: „a przecież po prawdzie...”. Powiem więcej: takiej złej myśli może wcale w nas nie być, ale obawa, że coś takiego moglibyśmy sobie pomyśleć, już sama ta obawa powoduje, że taka myśl się rodzi. Tak chyba było ze mną: mój niepokój wyłączył się z obawy, że mogę sobie pomyśleć coś podłego.

Czy pan wierzy w moce nadprzyrodzone? Ach, odmawia pan odpowiedzi. Ja w całej tej sytuacji czułem działanie mocy nadprzyrodzonych. Nie chciałem śmierci Jędrka, tego byłem pewny, ale moja namiętność ku jego żonie wyzwoliła siłę, która go zabijała. I zabijała całkiem bezsensownie, bo przecież w tych okolicznościach Bernadetta nie mogłaby się stać moja. Nigdy bym nie mógł po nią sięgnąć, a już na pewno nie mógłbym z nią być szczęśliwy, wiedząc, że trzeba było wprzód zamordować Jędrka. Tak więc Jędrak odchodząc, wytrącał mi ją z ramion. Niby mi ją zostawiał, ale właściwie – w konsekwencji – zabierał ostatecznie. Bo musiałem sam sobie udowodnić, że nie chcę skorzystać na jego śmierci. Chciałem też ratować Jędrka. Przekonać tajemne moce, które go zabijały, że fatygują się niepotrzebnie.

Zaproponowałem mojej ostatniej dziewczynie małżeństwo. Była zaskoczona, nigdy między nami nie było o tym mowy, trochę ją to nawet zastanowiło, ale w końcu się zgodziła. Załatwiałem nasz ślub w pośpiechu. Głowę w ton, ratowałem siebie, odcinałem się od zbrodni, ale po cichu wierzyłem, że ratuję i jego. Przed samym swoim ślubem zadzwoniłem do Bernadetty, przyrzekłem sobie, że po raz ostatni. Poznała mnie po głosie. Zaczęła mówić i naraz usłyszałem szloch. Pogorszyło się, niestety. W kilka dni później Jędrak zmarł. Za późno zacząłem go ratować, za późno.

Ostatni raz widziałem ją na pogrzebie. Wyglądała prześlicznie w czerni, splakana, bezbronna i może przez to nieoczekiwanie dziecinnie. Ja też w pewnym momencie zalałem się łzami. Ale starałem się, żeby tego nie zauważyła. Miała już suche oczy i surowy napięty wyraz twarzy, kiedy podchodziliśmy do niej my, jego i jej przyjaciele, żeby ją ucałować w oba policzki. Ja nie ucałowałem – bałem się, że to będzie świętokradztwo, podstępne spełnienie tego, o czym marzyłem. Pochyliłem się i ucałowałem jej dłoń. Usłyszałem westchnienie i wycofałem się. Spojrzałem na nią jeszcze z daleka: wyglądała prześlicznie, już raz to powiedziałem. Ale pomyślałem sobie, że jednak nie aż tak, żeby z jej powodu zamordować przyjaciela.

Nigdy do niej nie zadzwoniłem. Ona też się nie odezwała. Rozumiała chyba to samo co ja: że właśnie teraz stało się to trudne. Słyszałem, że wychodzi za męża, za lekarza, zdolnego chirurga, jednego z przyjaciół Jędrka. Bierze ją z małym dzieckiem. Cóż pan chce? Kobieta z powodem. I tyle jeszcze życia przed nią...

A mnie gniecie tajemnica. Jestem czy nie jestem mordercą? A ona: czy przeżywała coś podobnego co ja, czy czekała na coś, żeby się ze mną połączyć? Czy ją też dręczył mały złośliwy szatanek? A może ja sobie jej uczucia tylko ubzdurałem? Może nic takiego wobec mnie nie żywiła, prócz sympatycznej reakcji kobiety, która zauważyła, że jest uwielbiana? Tajemnica. Chodzę, coś tam robię, milczę – nie mogę nikomu pisać na ten temat słowa. Nawet własnej żonie, z którą żyje nam się poprawnie. Dziwi pana to „nawet”? Ale kiedy człowiek przeżywa coś istotnego, intymnego, to jest w nim impuls, śmieszny, przynajmniej, żeby zwierzyć się z tego przede wszystkim żonie, człowiekowi najbliższemu, przyjaciółce i współnikowi. Aż czasem zdumiewa, że właśnie jej jednej nie wolno się zwierzyć.

I dlatego przyszedłem do pana.

1984

# Raskolnikow

Głowę miał ogoloną. Jeszcze nie był więźniem, ale już wyglądał jak więzień. Mimikra – pomyślałem najpierw. Jemu się zdaje, że przez upodobnienie się do skazańca będzie poza podejrzeniem. Ale potem skorygowałem tę myśl: nie, to charakteryzacja – on chce wyglądać jak przestępca. Bo to też jest coś, jakiś wyróżnik. Mały, drobny, twarz chuda, piwne oczy niespokojne, ale nie ze strachu, nie, to były oczy, o których można powiedzieć, że nie są w stanie usiedzieć w miejscu. Zdaje się, że bardzo chciał mi się spodobać. Zastanawiałem się, czy nie po to tu przyszedł – po moją aprobatę. Nieważne, powiedziałem sobie, wysłuchaj go, to jest klient jak każdy inny. Poczęstowałem go papierosem – odmówił – woli palić swoje, mocniejsze.

– Ja pana w to nie wmieszam – powiedział – ale i pan się w to nie będzie pchał. Umowa? Pan nic nie wie i już. A jakby gliniarz zechciał coś od pana wyciągnąć, to pan może powiedzieć, że tajemnica zawodowa. Ja tak rozumiem, że u pana tutaj to jak na spowiedzi, dobrze mówię? No!... Bo jak ja stąd sobie pójdę, to mnie pewno capną, może już na mnie na ulicy czekają, a może wezmą z domu, a jak nie capną, to sam się zgłoszę, tak będzie lepiej, zresztą Heniek mnie i tak sypnie. My to tak między sobą ułożyliśmy, że jak jednego wezmą, to sypnie drugiego, nie ma co grać bohatera, kiedy i tak to na nic się zda, a jak się sypnie kumpla albo samemu się zgłosi, to może być okoliczność łagodząca. Jak trzeba będzie, to i skruchę okażemy, popłakać też można – czemu nie, nie tacy płakali. Na niby, ma się wiedzieć. Bo myśmy się umówili, że tak naprawdę, tak między nami, to żadnej skruchy. „Pamiętaj, Heniek – uprzedziłem go – nas na to stać i ani be, ani me”. Czyli że tu, u pana, mistrzu, są ostatnie godziny prawdy. Bo to fakt, że człowiekowi czasem tej prawdy trzeba, względem tego to ten Rusek trochę racji miał. A jak tylko stąd wyjdę, to od razu zacznam teatr i kiwanko.

– Jaki Rusek? – spytałem zaintrygowany.

– Raskolnikow. – Wypowiedział to nazwisko, prawidłowo akcentując. – Słyszał pan chyba przecież. W telewizji pokazywali. Widział pan? *Zbrodnia i kara* się nazywa, ten film. Ja normalnie to ruskich filmów nie oglądam, chociaż czasem zdarzy się, ale wtedy to byliśmy u Joli, to taka duża dziewczyna z włosami punk, chodzi do zawodówki, ale już dawno jest w wieku poborowym, biodra ma niezłe, a na tym spódniczkę mini, rajcowna, wtedy miała chatę wolną, bo były Zaduszki i starzy pojechali na wieś na groby, no to zebrałiśmy się u niej, sześć czy siedem osób, a może całe osiem, a ona w pewnym momencie nadmienia: „Dzisiaj *Zbrodnia i kara* leci, trzeba obejrzeć”. To oglądaliśmy, a jak kto się z czymś odezwał, to Jola warczała: „Co za towarzystwo, do nagłej cholery. *Zbrodni i kary* nie potrafią obejrzeć”. Bo ta Jola to, trzeba przyznać, zawsze wiedziała co do czego. Raz pamiętam, siedzą sobie panienki w sopockim Grandzie, w kawiarni, a tam dokoła wiszą obrazy, zawsze tam jakieś wystawy robiono, ze sprzedażą nawet, i ta Jola, pamiętam, bo chyba nigdy tego nie zapomnę, oglądała te obrazy, ale z jaką miną, jak ten stary w telewizji, co zawsze o wartościach nadmienia – musimy, powiada, chronić wartości – a co to są za wartości, nikt nie zrozumie, on sam chyba też nie – no i ogląda Jola te obrazy, a pali przy tym takie długie eleganckie cygarety, czarny tytoń, i na temat każdego obrazka coś ma do powiedzenia: w jakim stylu, z jakiej szkoły. Siedział z nami wtedy jeden lubiący się zabawić literat w dżinsach, co pod Malborkiem ma swoją posiadłość i zamysła muzeum swojej osoby w nim założyć, i widziałem, że go to bawiło, naraz wyjął taki mały notesik i szybko coś zapisał. Jej słowa, założyłbym się. Zbliża się kelner i mówi: „Pani Jolu, Finowie czekają”. A Jola na to: „To niech tu przyjdą, bo ja chcę jeszcze na ten taszyzm popatrzeć”. Pamiętam dobrze, że powiedziała „taszyzm”, bo nawet myślałem, że się pomyliła i miało być „faszyzm”, ale okazało się, że wszystko w porządku – właśnie „taszyzm”. Ale ona z tym patrzyeniem to nadmieniła tylko dla pucu, bo zaraz kuper podniosła i kręcąc nim elegancko, jak księżna Monako, poszła sobie dorabiać.

Jeszcze nam ta Jola zdążyła powiedzieć przed emisją, że *Zbrodnia i kara* jest według powieści, ale tego bym się domyślił i bez niej, bo zawsze jest według jakiejś powieści. Niezła historyjka, wciągnęło nas, i trzeba przyznać, że jak towarzystwo jest cicho, to lepiej się ogląda. Widział pan to? No pewno, jeszcze by nie. To nie będę panu streszczał. Tylko tyle powiem, że to wszystko przez ten film. Gdyby nie Raskolnikow, nie siedziałbym tu przed panem. Wtedy

to się zdecydowało. Jak się film skończył i Jola wyłączyła telewizor, Heniek parsknął: „Ale numer!”. Na to jego Bejbi, taka mała, dosyć w sobie panienka, co lubi pociągnąć, już ze szklanką owocowego w ręku, zaczęła recenzować i wykrzywiać się nie gorzej niż jakaś paniusia z gazety: „W ogóle to owszem, nie powiem, ujdzie w tłoku, tylko ta Sońka. Co jej strzeliło, żeby pójść za chłopca z wyrokiem? Jaką przyszłość z nim mogła mieć? Chyba miała w głowie nie po kolei. Kto by tak zrobił?”. I zniszczyła artystów: „Niemożliwe!”. Jola na to: „Bo ona miała dobre serce”. „Dobre, dobre, ale w kinie” – na to Bejbi w śmiech. Jola zaś: „Co ty tam wiesz, przecież to Dostojewski”. I powtórzyła, wypuszczając dym z ust, jak wtedy z tym taszyzmem: „Do-sto-jewski”. Był z nami Długi Dżon, czyli Janek S., chwilowo niepracujący, i on podtrzymywał Jolę: „Bo dawniej to ludzie byli bardziej uczuciowi. Nie ta znieczulica co dzisiaj”. „Co?! – na to zjeżyła się Misia – Jaka znowu znieczulica? Może ja nie jestem uczuciowa? Jak słuchałam Bloody Dogsów, to żyły sobie chciałam poderżnąć i tak wrzeszczałam, że mnie wynieśli z sali”. To zgodziliśmy się, że i my jesteśmy uczuciowi, tylko jakoś inaczej, bardziej tak dla siebie, a nie żeby pobiec na policję przyznać się, że się kogoś ciachnęło, bo sumienie, bo to, sio. Heniek powiedział: „A ja wam mówię, że to dlatego, że ten Raskolnikow był Ruski, nasz chłopak by się nie podłamał, zrobiłby swoje, forszę wziął i tyle go widzieli”. No i zaczęliśmy się sprzeczać o Ruskich, zwłaszcza że panienki były innego zdania. Pamiętam, że Długi Dżon, czyli ten Janek S., powiedział, że jak się taką rzecz robi, to nie ma potem co roztrząsać, bo wtedy to koniec z tobą, bracie, trzeba po męsku: zrobione i cześć. Heniek jeszcze powiedział, że czytał o takim, a może kino oglądał, co się przyznał do czegoś, czego wcale nie popełnił. I nie żeby go zmusili, ale że trapiły go wyrzuty sumienia – tak w ogóle: że on jadł, pił, bawił się, kiedy ktoś tam został zamordowany, a w Afryce ktoś głoduje i tak dalej. No to było z tym trochę śmiechu i cała owocówka poszła, na szczęście Janek S. przytaskał ze sobą bimberek. I jak sobie podgazowaliśmy i z dziewczynami zrobiliśmy, co obowiązek nakazuje, to Miśka – tak, ona – pamiętam, że miałem ją na kolanach i że ona ześlizgnęła mi się z tych kolan i jeszcze zasapana warknęła, nie wiadomo dlaczego, bo przecież powinna była być zadowolona, a ona odwrotnie, warknęła, cholera wie dlaczego: „Ty capie (bo wtedy miałem bródkę), do tego toś ty dobry, niech cię choroba, ale czego ty Raskolnikowa masz za nic? To był ktoś i dlatego o nim jest książka. Jakbyś był na jego miejscu, tobyś się jeszcze bardziej rozkraczył”. „A właśnie, że nie...” „No to idź, bierz siekierę i rąbnij staruszkę. Dasz radę, akurat”. Aż mi

się gorąco zrobiło: „Co, ja nie dam rady?”. I już chciałem powiedzieć, że jest taka jedna starka na Targowej, o której mówi się, że ma w tapczanie odłożone – rozpierało mnie, żeby to krzyknąć, bo krew mnie zalewała, za kogo ta głupia dziwka mnie ma, warszawskiego rodaka, czy ja gorszy od jakiegoś Raszkolnikowa – kiedy nagle patrzę, a tu Heniek daje mi gwałtowne znaki, że bym trzymał gębę. O, myślę sobie, coś w tym jest. Dałem mu znak, że rozumiem, już milczę, a Heniek kiwnął głową, dobra jest.

Jak tylko wyszliśmy na ulicę, Heniek do mnie: „Pamiętasz starą Wyżymaczkę z Targowej?”. „A jak? Myślałem o niej”. „To ty też?”. „Jest głowa czy nie?”. „A nie pęknieysz?”. Spojrzał na mnie, jakby on był ten lepszy. Oburzyłem się: „Ja?! Chyba mnie nie znasz”. „A co z wyrzutami sumienia?”. „Chromolę”. „Żadnego chodzenia do gliniarzy?”. „No pewno”. „Ani na miejsce przestępstwa?...”. „Ty już naprawdę z byka spadłeś”. Spytałem: „Co ona może mieć?”. „Co dusza zapragnie. Paczki dostaje z Kanady”. „A dolary?”. „No chyba, dolary też. Dla kogo ona to wszystko chowa? Jak to tamten powiedział? Zasługuje, psiakrew, żeby jej przedstawić rachunek. Takie chłopaki jak my dwaj, młodzież można powiedzieć, przyszłość narodu, i nic, ciągle nic, a tu ta stara Wyżymaczka rozsiadła się na swoich paczkach. I tak jej już niedługo, a my tylko wyręczymy sprawiedliwość, bo nie ma się, cholera, kto nią zająć”. Nie podobało mi się, że Heniek tyle tłumaczył. Cały wykład w telewizji miał, jak ten w okularach przed filmem. Źle to wróżyło. Mówię: „Nie, Heniek, jak rany, nie o to się rozchodzi. A o to, że ona ma, a my nie – to raz. I trzeba ją załatwić, nie że to sprawiedliwe, ale że nas stać na to. Zrobimy swoje i nawet w nocy nam się nie przyśni, jasne?”. On na to: „Jasne. To jest właściwe podejście”. I już nie patrzył na mnie z góry.

Ułożyliśmy plan. Trzeba będzie przez parę dni obserwować co i jak, żeby wykonanie było na medal. Przygotować pudło z jakimiś szmatami, czarnym tuszem wypisać na nim jej adres, niby że przynosimy jej paczkę, bo wie pan, jak to teraz jest, można sobie dorobić rozwożeniem paczek. Najlepiej by to było zrobić między szóstą a siódmą, bo po siódmej może się jakaś sąsiadka wmeldować, żeby obejrzeć dziennik i film. „A co z siekierą?” – pytam. „Jaką siekierą? – Heniek aż się obruszył. – Czy to ja chłop ze wsi, co ojca, matkę chce zabić? Młotek i linka” – powiedział i uciął dyskusję, bo co racja, to racja, nie ma co się sprzeczać.

Mieszkała na drugim piętrze, dwa okna wychodziły na ulicę: kuchnia i pokój. Z obserwacji wyszło według planu: gdzieś o pół do szóstej zapalało się

w tych oknach światło, dni były jeszcze krótkawe, znaczyło to, że o tej porze Wyżymaczka jest w domu, po siódmej światło się zmieniało, stawało się pomarańczowe od nocnej lampki, ze smugą siną od telewizora, czyli że stara ogląda dobranockę, bo one to lubią, te stare kobiety, lubią wszystko co dla dzieci. To sporządziliśmy tę paczkę, pudło wzięliśmy z mydlarni po proszku do prania Dixan, żeby wyglądało zagraniczniej, wypchaliśmy je makulaturą, czarny flamaster kupiliśmy u prywatniarza na Wilczej i dużymi literami wypisaliśmy nazwisko naszej Wyżymaczki i pierwszą literę imienia. Potem przewiązaliśmy paczkę sznurem i jeszcze wymyśliliśmy nadawcę z Australii: Jan Kowalski, Sydney, John Lennon Street czterdzieści osiem łamane przez sześć. Fachowo! Ale się pokapowaliśmy, że nie ma na paczce znaczków. „Co to szkodzi – na to Heniek – u nich często jest bez znaczków, tylko nadruki dają”. „Ale nie ma i nadruków”. Heniek machnął tylko ręką: no to nie ma, o co chodzi, ważne, żebyśmy się tam dostali. Niby racja.

Krytycznego dnia wypiliśmy po secie, wzięliśmy naszą paczkę i wędrujemy pod ten dom. „A co, jak kogoś drugiego zastaniemy? – pytam. – Tamten zastał i musiał zaciukać dwie zamiast jednej”. „Bo był niefartowny. Od początku mu nie szło. My jesteśmy fartowni”. „Dużo możesz wiedzieć”. „Wiem. Mnie to, choroba – chwalił się ten Heniek, niech za to szczególnie – wszystko w życiu się udaje. Ja to mam już taki glik. Jeszcze mnie nie znasz? Nawet Bejbi mówi, że ja to chyba z samym diabłem trzymam sztangę”. „Dobra, niech będzie, ale jak się jednak napatoczy, to co? Chodu?”. Heniek się zastanowił, potem powiedział: „Chodu. Po co nam jakieś komplikacje?”. Było tak za piętnaście szósta, kiedy stanęliśmy przed tym domem. W obu oknach na drugim piętrze widać było światło. Zobaczyłem cień starej kobiety w kuchni, coś tam pewno sobie pitrasiała, takie stare kobiety to dziobią jak te ptaszki, ale za to ciągle. Serce mi zabiło, w gardle poczułem suchość, nie ukrywam, nawet pomyślałem: żeby mi tylko kolana nie drżały, a Heniek, jakby mnie odgadł, spytał: „Dygoczesz?”. „Nie. Ale jeszcze jedną setę to bym wychylił”. Heniek na to, że owszem, nie zaszкодziłoby. Bo co tu gadać, jakieś nerwy to są. Najpierw człowiek myśli, że nic go nie ruszy, a potem, jak mu się wszystko na łeb wali, to dostaje drgawek. Nic, idziemy, krok po kroku. Klatka schodowa brudna, za co ten cieć pieniądze bierze, nie wiadomo. Stanęliśmy przed jej drzwiami, drewniane, brązowa farba trochę odrapana, napis kredą „K + M + B”. Mruknąłem do Heńka: „Nasze drzwi”. Była tam jeszcze karteczka z nazwiskiem Wyżymaczki, a przed nim całe imię, Zofia. Zapamiętałem, bo moja pierwsza dziewczyna też była

Zośka, no to mi się rzuciło w oczy. I w ogóle w takiej chwili dużo rzuca się w oczy, tylko wcale nie to, co powinno.

Heniek, że wyższy, to był z paczką, ja nacisnąłem dzwonek. Ostry był, jakby kto świdrem uszy przeszył, nie tak, jak te dzisiejsze, te z muzyką. Usłyszeliśmy człapanie, musiała być w papuciach, a potem, pod samymi drzwiami, zaskrzeczała:

– Kto tam?

Heniek odpowiedział wesoło, tak jak sobie ułożyliśmy:

– Poczta!

Ale stara cholera ostrożna była. Spytała, nie otwierając drzwi:

– Jaka poczta?

– Paczka z Australii.

– Z Australii? Do mnie? – Zdziwiła się widać, ale drzwi uchyliła, tylko jeszcze łańcuch trzymała. I zobaczyliśmy jej twarz, z osiemdziesiąt lat ma, pomyślałem, ale potem z nekrologu dowiedziałem się, że siedemdziesiąt dwa, tylko mnie się tak wydawało, że osiemdziesiąt. Ale siedemdziesiąt dwa też ładny wiek, ja tyle nie pożyję, niechby połowę tego i wystarczy. Patrzyliśmy na nią, ona na nas, znaleźliśmy się trochę po sąsiedzku, z kolejki, więc powiedziała: „To panowie teraz przy paczkach dorabiacie?”. „Taki czas – Heniek na to – trzeba pomagać”. Stara pokiwała głową i otworzyła drzwi.

Heniek wszedł pierwszy, ja za nim. Coś jej nagle na myśl przyszło, bo spytała, podnosząc na mnie oczy:

– A pan tu właściwie po co?

Mogłem ją od razu stuknąć młotkiem, ale co się było śpieszyć, byliśmy w środku, to najważniejsze.

– Taki teraz porządek, proszę pani, żeby we dwóch. Do jednego nie ma zaufania – może przesyłkę podwędzić, to ten drugi go pilnuje.

– Coś takiego – westchnęła. – Ale się świat zrobił.

– Tak, tak, pani ma rację – Heniek na to i idzie z paczką do pokoju, wprost do okrągłego stołu, na którym leżała ręcznie haftowana serweta, cudo, mówię panu, ona to sama robiła. – Demoralizacja, jakiej świat nie widział – mówi dalej Heniek. – Toteż – powiada – pani szanowna nie powinna sama przebywać, mogą się zdarzyć jacyś źli ludzie – pytluje – lokatora trzeba wziąć, żeby nikt obcy się nie poślakomił.

I mrugnął do mnie okiem, jaki on zręczny. I popatrz, jest sama – ano prawda, mieliśmy fart, on go miał jak zawsze, ale czy to naprawdę był fart, czy nie



byłoby lepiej, żeby nam się zdarzyło trochę niefartu, to się jeszcze okaże. Stara Wyżymaczką zaskrzeczała.

– Po co mi lokator? Żeby cudze humory znosić? Do mnie tu nikt po nic nie przyjdzie, dobrze wiedzą, że nie ma się tu czym pożywić. Ale czemu pan paczkę wciąż trzyma? Od kogo to?

– Kowalski – odczytał. – Kowalski Jan.

– Kowalski? W Australii? Nie znam takiego...

– Nie trzeba znać – odezwał się. – Teraz na świecie jest taka akcja: pomagają Polakom. Ktoś podał pani nazwisko, może się pani cieszyć.

– Może Helenka – rozmyślała na głos. – Ile się panom należy?

– Sto pięć złotych dopłaty. – Tak to sobie czegoś wymyślił, ten Heniek.

Stara podreptała do szafy, wyjęła torebkę, z torebki portmonetkę z pięćdziesiątkami. Podczas gdy ona liczyła, ja nie wytrzymałem i spytałem:

– Oglądała pani w telewizji *Zbrodnię i karę*?

– Oglądałam, wszystko oglądam.

– Fajne, nie?

– E, wie pan – powiedziała – dawniej to artyści byli przystojniejsi. Do zakochania się! Teraz takie byle co jest za artystę.

– No, ale historia życiowa, nie? – Strasznie mi się chciało wiedzieć, czy jej przez myśl przejdzie kojarzyć to z nami.

– Czy ja wiem. Może. Może być – przyznała. – Ale, wiedzą panowie, ja to myślę, że nie powinni takich smutnych rzeczy pokazywać. O zabijaniu, dobrze, ale żeby tak mu się nie powiodło. W telewizji, jak artysta sympatyczny, to wszystko powinno się mu udawać. A nie żeby zabijał. Weselsze powinno być.

Jak już się wypowiedziała, to wręczyła Heńkowi pieniądze, dała sto pięćdziesiąt, reszta dla nas na piwo. Heniek liczył monetę strasznie poważnie, jeszcze udawaliśmy panów z poczty, chociaż można już się było do niej dobrać. Wsypał pieniądze do kieszeni i powiedział:

– Jeszcze drobiazg, pani Zofio. Trzeba podpisać.

I położył na stole zużyty kwit z pralni.

– Tutaj – pokazał starej gdzie.

– Poszukam okularów.

– Ale po co? Po co jakieś okulary? – Heniek bał się, że ona rozpozna, że to nie ten kwit. – Pani podpisze o tu, na dole.

I nawet podał jej długopis. Ona pochyliła się nad stołem i właśnie kiedy grzymoliła swoje nazwisko, ja stuknąłem ją młotkiem w ciemność. Wydała

okrzyk, taki krótki, jakby głośno westchnęła, i padła twarzą na stół, na tę swoją serwetę. Ale nie mogliśmy polegać na tym uderzeniu, zresztą było umówione, że jak dwóch, to dwóch, więc Heniek wyszarpnął linkę z kieszeni, zarzucił jej przez głowę i ścisnął wokół szyi. Trzymał tak kilkanaście sekund, aż był już na pewno koniec. Cholernie szybko to idzie z człowiekiem, cholernie.

Przenieśliśmy ją na fotel, żeby wyglądało, że zmarła w drzemce, „Życie Warszawy” położyliśmy obok, tak że niby wysliznęło jej się z rąk, otworzyliśmy na stronie ogłoszeń, bo takie stare to najbardziej lubią ogłoszenia i nekrologi. A potem zabraliśmy się do przetrząsania domu. W szafach nic, pod materacem nic, pod poduszką tak samo. W torebce osiemset złotych. W kuchni trochę zapasów, nie powiem, kawa, herbata, zagraniczna margaryna, w łazience trochę mydełek i proszków, ale przecież nie po takie barachło przyszliśmy. Zielonych ani śladu. Zegarek znalazł się, owszem, cebula sprzed stu lat, z łańcuszkiem, pewnie po ojcu, może i coś wart, ale nie chodził. Czyli tylko ta portmonetka, a w niej osiemset złotych i trochę drobnych. „Wystawiła nas do wiatru, stara Wyżymaczka – powiedziałem. – Teraz to ona może się śmiać. Osiemset złotych! Nie do wiary”. „Bo przed pierwszym. – Heniek zaraz się kapnął, w czym rzecz. – Jeszcze nie nadeszła emerytura. Po pierwszym byłoby kilka tysięcy”. „Teraz toś mądry. Czegoś przedtem nie pomyślał?”

Heniek nie odpowiedział. Podarł ten kwit z pralni i spuścił go z wodą w ubikacji. Potem rozbiliśmy naszą paczkę, podarliśmy ją na strzępy, żeby wyrzucić do pojemnika na śmieci na podwórzu, jak już stąd wyjdziemy. A potem jeszcze trochę myszkowaliśmy po mieszkaniu, każdy na własną rękę. Aż tu Heniek krzyczy:

- Mam!
- Co masz? – Ucieszyłem się, że zielone.
- Wino!
- Cholera z winem. Jakie wino?
- Cabernet. No to chodu.
- Poczekaj, otworzymy.

Znalazłem korkociąg, otworzyliśmy butelkę i dopiero wtedy wyszliśmy, z winem pod pachą i z tymi kawałkami po paczce. Jak się ich pozbyliśmy, to poszliśmy parę domów dalej, gdzie była fajna brama, cicha jak sypialnia, przedwojenna, nawet trochę kafelków zostało. I tutaj wysuszyliśmy nasze wino. Ja mówię:

- Heniek, wiesz co? Zabiliśmy starą Wyżymaczkę dla ośmiuset złotych.

– A wino? – przypomniał Heniek.

– Tamten to załapał niezły szmal, celował w ładowaną staruchę, a my co? Jak małe dzieci. On wiedział, po co to robi, siostrę miał w biedzie, i to, i tamto. A my po cholery?

– Pękasz? – spytał Heniek.

– Nie, nie pękam. Mówię, jak jest.

I śladów, mówię, pozostawiliśmy od cholery. Odciski palców jak stąd do Piaseczna. „Kichaj na to” – powiada Heniek. Fachowcy, przypominam mu, to w rękawiczkach pracują. No to on, że to nie dla nas taka robota, albo – albo, powiada, jak iść, to na całość. Ja za brakoróbstwem nie jestem, powiadam, a my spartaczyliśmy robotę i na dobitkę guzik z tego mamy. Na to Heniek, że za te osiemset złotych trzeba kupić pół litra i coś do tego, konserwę albo żółtego sera. Rozprawiliśmy się z tą półlitrowką w następnej bramie. Miałem porządnie w czubie, chwiałem się, pamiętam dobrze, bo film mi się nie urwał, ja zawsze wszystko pamiętam, i pamiętam, jak Heniek powtarzał:

– Zabiliśmy starą Wyżymaczkę?

– Zabiliśmy. Dla ośmiuset złotych.

– Nie, bracie. Dla porządku. Stara, głupia, dosyć pożyła.

– Ja nie wiem – mówię – dosyć, nie dosyć. Czy ja Pan Bóg, żeby mówić, kto ile ma żyć? A ty co – Pan Bóg jesteś?

– Pękasz.

– Nie, ja tylko mówię.

Heniek pochwiał się trochę i znowu:

– Te, zabiłeś człowieka czy nie?

– We dwóch.

– We dwóch – ale zabiłeś to czy nie?

– No, zabiłem.

– To teraz dopiero jesteś facet – powiedział Heniek i klepnął mnie po barku. Mnie się zdaje, że to też było z jakiegoś kina, z francuskiego filmu, nie pamiętam tylko, o co szło. – Teraz – mówił Heniek – możesz powiedzieć, że jesteś chłop, a nie kiedy szorujesz Misię. – I pogroził mi palcem: – Nie pęka!

– Bądź spokojny.

– Idę do Bejbi – powiedział. – Mam teraz kategoryczne życzenie dotknąć jej boskiego ciała.

Gównu boskie, chciałem powiedzieć, ale nie powiedziałem, niech mu będzie, jak taki zaślepiiony.

Ja powlokłem się do starych, bez pośpiechu, bo muszę panu powiedzieć, że nogi się pode mną płątały, a poza tym to się czułem jak głupi, bo taki wyczyn i nic. Za to Heniek, chociaż na gazie, pobiegł do swojej supermiss. Wcale go nie chciała wpuścić, bo akurat była trzeźwa, a w mieszkaniu matka i ojczym. To on, że ma ważną gadkę, i zaprosił ją do kawiarni. Poszła z nim do takiej małej kawiarenki bliżej Brukowej, wzięli dwie herbaty, bo on był niezłe splukany i jeszcze go suszyło, i w pewnej chwili, jak mi to potem nadmienił, patrzy jej uwodzicielsko w oczy: „Bejbi, a chcesz coś na szczęście?”. „Daj”. To on tę linkę wyjmuje z kieszeni i ofiaruje. „Co to jest?”. – pyta zdumiona Bejbi. „Dla ciebie, najukochańsza. Żeby ci się powodziło”. „Od tego ma mi się powodzić?”. „Od tego. To jest linka, którą dwie godziny temu udusiłem staruchę”. Nie uwierzyła. „Zostaw to, powiada, po co takie żarty, pijany jesteś”. „Pijany to troszkę jestem, ale żarty to nie są. Udusiłem”. Bejbi spytała: „A po co?”. „Trzeba było”. „Trzeba? Dlaczego?”. „Co ci będę tłumaczył...” – tyle wystękał, bo nagle nie wiedział, co jej powiedzieć. „Po pijaku?” – spytała. „Nie, potem się upiłem. Chcesz tę linkę?”. „Chcę, dziękuję”. Schowała linkę do torebki i spytała: „Sam to zrobiłeś czy z Capem?”. Wtedy on skłamał, że sam, nie dlatego, żeby mnie nie sypać, tylko dlatego, żeby całą zasługę sobie przypisać. „A co? – zaperzył się. – Czy mnie kto potrzebny?”. „I kogoś tak utłukł?” – spytała. „Dowiesz się z gazet”. „To o tym będzie w gazetach?” „A jakże. We wszystkich”. „Ty gnioście – wybuchnęła. – Nie myśl, że mnie w to zamieszasz! Ja z tym nie chcę mieć nic wspólnego!”. Poderwała się. „I proszę do mnie nie dzwonić ani mnie nie nachodzić. Żegnam pana”.

I wyszła jak obrażona dama, z tą linką w torebce. Znała już całą historię i miała nawet dowód rzeczowy. Jasne było, że sypnie. One zawsze to robią. To się zawsze tak kończy, że kochanki wydają swoich amantów. Jest taki moment, że mają dosyć, i wtedy chcą się zasłużyć, żeby ich się nie czepiano. Dillinger, wróg publiczny numer jeden, film o nim był – to jak skończył? Ukochana go wskazała policji, jak wychodzili z kina. „To ten, mówi, strzelajcie”. Na sito go przesyli. I one z góry wiedzą, że kiedyś swoich kochanków wydadzą, tylko jeszcze nie znają dnia i godziny.

Ala minęło kilka dni i nic. Heniek chodził jakiś niespokojny. Nekrolog był, pogrzeb, a tu wciąż nic. Heniek coraz bardziej niespokojny. Nie żeby jakieś wyrzuty sumienia, ale że tak nic się nie dzieje. Kamień w wodę. Mówi do mnie: „Ty, a może byśmy poszli rzucić okiem na to mieszkanie”. „Po co?”. „Czy się kto wprowadził. Albo czy sąsiadkę szlag nie trafił”. „Aha – mówię – już ciągnie przestępcę na miejsce zbrodni”. „Ale gdzie tam. Tylko tak pójść, dla draki”.

Znowu chciał się sprawdzić. A może tęsknił do mamra albo do pojedynku z prokuratorem. Może spodziewał się, że go wykiwa i jak dobrze pójdzie, to Bejbi będzie miała nieprzyjemności za fałszywy donos. Powiedziałem: „Okej, to ja za tobą o kilka metrów, bo jak kogoś szukają, to nie mnie”. I rzeczywiście. Jak tylko Heniek zbliżył się do tego domu, a tu patrzeć spod muru odlepia się taki wysoki facet w ortalionowej pikowanej kurtce i podchodzi do mojego współnika. „Obywatel Heniek?” – zapytuje. To już wiedziałem, że muszę zatrzymać się, stoję koło kiosku z gazetami, patrzę na „Rzeczpospolitą” i słucham. „A bo co? – pyta Heniek. – Znamy się?”. „Czekam tu na ciebie. Jest interes”. „Jaki?”. Na to nadeszło dwóch mundurowych. A cywil pyta: „Zabiłeś staruchę?”. „A może nie zabiłem, co?”. Ale cywil już nie odpowiada, gliniarze zakładają Heńkowi kajdanki i wrzucają go do taksówki, która właśnie podjechała. A ja kupiłem gazetę i z nogami ciężkimi jak ołów poszedłem do domu.

To było wczoraj. W nocy spać nie mogłem, chociaż wypilem sam do lampy trzy sety wódki. Leżę i myślę: już po mnie. I przypominam sobie, jak to się stało. Wszystko mi się przypomina, szczególnie po szczególe, minuta po minucie. I po co, po co, pytam ja pana, po co było w to leżać? A może to nie tak, myślę, może mi się ubrdało tylko, a naprawdę stara żyje. Gdyby tak dało się wszystko cofnąć do tego momentu, zanim weszliśmy na schody. Gdybym na przykład powiedział wtedy: „Heniek, po diabła nam to potrzebne? Czy to źle jest, jak jest?”. I zaraz sobie wyobrażam, jakby to było, gdybyśmy tam nie poleźli, Heniek na wolności, z Bejbi albo z jakąś lepszą, wszystko jest po staremu. Ale co się bując, powiadam sobie, stało się i już się nie odstanie, zabiłeś Wyżymaczkę dla ośmiuset złotych plus butelka wina, to teraz płac za swoją głupotę. A potem pomyślałem: komu by to wszystko po porządku opowiedzieć? Nie to, co będę czarować do pana śledczego, ale to, co naprawdę się zdarzyło. Zrzucić z siebie trochę tego ciężaru. I przypomniałem sobie, co Jola kiedyś nadmieniła o panu. Że pan wysłuchuje. I jak postanowiłem sobie, że przyjdę do pana, to od razu zasnąłem. I spałem prawie do południa.

1984